Ner 7. Kraków, dnia 1go Kwietnia 1871. Rok III.

WŁOŚCIANIN.

Pismo dla ludu.

Włościanin wychodzi 1 i 16 każdego miesiąca.— Włościanin kosztuje rocznie Zł. 3 w. a., półrocznie Zł. 1 cent. 50, kwartalnie cent. 75.— Ktoby sobie życzył przesłać z przedpłatą na „Włościanina" zarazem i przedpłatę na „Zagrodę"— płaci za oba pisma: rocznie Zł. 4 cent. 60, półrocznie Zł. 2 cent. 30, kwartalnie Zł. 1 centów 15.
(Zagroda wychodzi 8 i 24 każdego miesiąca).

Ogłoszenia przyjmuje się po 4 centy od wiérsza, z dopłatą 30 centów na stempel. — Listy lub przekazy pocztowe należy przesyłać pod adresem: Do redakcyi „**Włościanina**" Ulica Gołębia wyższa Nr. 169, 2 piętro.

Historyja Radomyśla.

Jest to rzeczą bardzo ciekawą i pożyteczną wiedzieć, jak też w naszym kraju powstawały wioski i miasta? Do Radomyśla chodzę już od dawna na odpusty i jarmarki, a znając historyję wielu wsi i miast, ciekawy byłem dowiedzieć się nieco o Radomyślu. Pytałem niejednego, ale nikt mi o starych dziejach radomyskich nie dał wyjaśnienia. Dopiéro poznawszy się ze staruszkiem Franciszkiem Dybkiem, co to na całe miasto szacowny, cichy, pobożny i pracowity, poszedłem do niego w dzień N. P. Zielnéj po nieszporach, a usiadłszy pod gruszką w cieniu, gdym się go zapytał, kto Radomyśl założył i kiedy, rozgadał się w te słowa:

— Ja się zestarzałem i nie wiedziałem o tém, do czego doszedł nasz Radomyślak Alojzy, syn Wawrzyńca Skoczka i Zuzanny z Cukrowskich, który jest nauczycielem szkoły głównéj w Krakowie. Alojzy ciekawy starych dziejów, nieraz do mnie mówił: Znamy historyję prawie całego świata, a o naszym Radomyślu nic nie wiémy. Otóż zaczął on przemyśliwać i nad historyją Radomyśla, ale że to ludzie różnie bają, to on też poskładał różne sensa, co mogły być prawdziwe; uporządkował wszystko według swego serca, a najwięcéj wiadomości dostarczył mu jeden ksiądz w Krakowie, niejaki Zygmunt Wołek z Wadowic, św. teol. doktór, co jest prowincyjałem nad wszystkimi Augustyjanami w całéj Polsce. Alojzy spisał wszystko wyraźnie, i ot jak był tu u ojca, zostawił mi pismo na pamiątkę.

Franciszek dobył pismo z kieszeni, założył okulary i czytał jak następuje:

— Około r. 1400, kiedy San wpadał do Wisły wprost Sandomirza, nic jeszcze nie było w tém miejscu, gdzie stoi Radomyśl. W całéj téj okolicy były wielkie bagna i lasy, należące do puszczy Sandomirskiéj i Zaklikowskiéj. Gdzieniegdzie tylko były budy pastérskie, szczególniéj blizko naszéj góry, zarośniętéj niebotycznemi sosnami. Pod górą rozciągała się piaskowa równinka z pagórkami, tu i ówdzie krzaczkami, bylicą, mietlicą i dzikim tureckim owsem porośniętemi. Pastuchy na noc z lasów wyganiali bydełko na te piaski, tu igrali, śpiéwali i ognie palili, a że tu pastuch Jan Kowalik zawsze kozy pasał i na skrzypkach przygrywał, przeto te piaski nazwano koziemi skrzypkami. Żonę tego pastucha nazywano Kowalichą. Bywało nie raz, Kowalik wieczór gra na skrzypkach, pastuchy tańcują i wycinają różne pieśni, a Kowalicha odchodzi na górę i tam się modli. Pewnego razu wieczór, wśród spokojnéj ziemi i gwiaździstego nieba, woła Kowalicha pastuchów do siebie na górę i tak do nich rzecze:

— Moi kochani! Dobrze nam na tych piaskach nocować i bawić się, ale nie wypada ze wszystkiém o Panu Bogu i Matce Najśw. zapominać. Chodźmy ze wschodem i zachodem słońca zawsze w las na górę, a chodźmy zawsze, dopóki tu żyć będziemy!

Odtąd rano i wieczór chodzili pastuchy na górę modlić się, gdzie Kowalicha siedm lipek zasadziła, a Kowalik postawił kapliczkę z choiny. Otóż tę górę nazwali na pamiątkę Kowalichą. Od tamtych czasów, kto tylko był w pobliżu téj góry, każdy szedł do kapliczki, a że tam już był i obraz Matki Boskiéj bolesnéj, więc to miejsce nazywano Zjawieniem.

Około r. 1500 już było kilka chałup pod piaskiem kozie skrzypki zwanym. Z okolicznych wsi schodzili się ludzie do kapliczki, a że tu

wszyscy w modlitwie od Matki Boskiéj bolesnéj pociechy doznawali, z rozradowaną myślą odchodzili lub zostawali, przeto tę osadę nazwali Radomyślem. W tym to czasie w okolicy góry i Radomyśla były osady: Glinik, Ocierchów, Nowiny, Skowierzyn i Swiekosty, które były własnością familii z Siennowa Sienieńskich. Przed r. 1556 wszystkie te osady i z chałupami Radomyśl zwanemi, były własnością Jakóba Sienieńskiego i żony Reginy z domu Czerna. Wówczas Sienieńscy mieszkali w zamku na pagórku zwanym dziś „Zamczysko“ na prawym brzegu Sanu, gdzie mieli piękny zwierzyniec zwany „Latoniem.“ Zamek był drewniany z wieżą. Przetrwał on długie lata, aż po r. 1764 rosypał się w próchno.

Otóż w r. 1556 państwo Jakób Sienieński z żoną Reginą założyli na granicach tych wsi blizko Sanu miasteczko Radomyśl, i to na prawie magdeburgskiem. San wtedy płynął już pod Skowierzynem, a dopiéro od r. 1838 przekopano go po pod górę „Zjawienie“. Kiedy Radomyśl był założony, cała ta okolica należała do województwa lubelskiego, a dyjecezyi krakowskiéj. Było to za panowania Zygmunta Augusta, ostatniego króla polskiego z rodziny Jagiellonów. Król Stefan Batory zaś potwierdził prawa miasteczka z nadaniem mu jarmarków i przywilejem cechów garbarsko-szewskiego i bednarsko-tkackiego.

Jakób i Regina Sienieńscy wybudowali zaraz piérwszy kościół drewniany w mieście pod wezwaniem św. Jakóba Większego, apostoła, syna Zebedeusza, jako kościół parafijalny, ale fundacyi dla plebana nie uczynili, tylko utrzymywali księdza za roczném wynagrodzeniem. Ten kościół był tylko dla Radomyśla, gdyż Żabno i Nowiny należały do Wrzaw. Ten kościół był duży, po prostu zbudowany, z sygnaturką na środku; wewnątrz był wielki ołtarz i dwa boczne, był obsadzony morwami, lipami i wiązami. Ks. Waleryjan Lubieniecki de Demeszko, z zakonu Franciszkańskiego, biskup Bachowski z Wołoszczyzny, konsekrował go w niedzielę piérwszą adwentu r. 1604, a to z polecenia ks. Piotra Lubicz Tylickiego, biskupa krakowskiego.

Po śmierci Jakóba Sienieńskiego, który jest pochowany w familijnym grobie w Siennowie, wspomnione wioski z Radomyślem przypadły synowi Abrahamowi Sienieńskiemu. W krótce po Jakóbie umarła jego żona Regina, którą pochowano pod naszym kościołem. Dopiéro Abraham zrobił fundacyję na plebana i dwóch mansyjonarzy. Pomimo fundacyi i Abraham nie starał się jeszcze o stałych parafijalnych księży, tylko utrzymywał księdza za roczném wynagrodzeniem, częstokroć z księży kanoników Bożego Ciała z Kraśnika. W owych czasach mało było księży świeckich, przeto Abraham miał chęć zgromadzić jakich zakonnych do Radomyśla. Znał on się z różnemi zakonami, lecz najlepiéj upodobał sobie OO. Augustyjanów od św. Katarzyny w Krakowie, bo oni słynęli zawsze z nauki i pracy. Tak tedy d. 20 czerwca 1625 r. czyni Abraham erekcyję czyli fundacyję dla Augustyjanów, buduje dla nich klasztór, oddaje im parafiję, a to potwierdza d. 30 czerwca ks. Marcin Szyszkowski, biskup krakowski, książę siewierski. Fundacyja była na 9 zakonników: 4 księży, a 5 kleryków i laików. Abraham wyznaczył Augustyjanom grunta i łąki w trzech miejscach i jeden ogród, dziesięciny, procent roczny od 14800 złp. i inne użytki, jako: wolne mléwo we młynach na Sanie, połów ryb w jeziorze Osetno, wolne pastwisko i las. Mieszczanie zaś radomyscy dawali klasztorowi 40 złp. za dziesięcinę, nadto pewną ilośc beczek piwa dawali piwowarzy miejscy. Do dobrodziejów klasztoru oprócz fundatora Abrahama Sienieńskiego liczą się: Dydyński, Rozwadowski, Kolesza, Karski i inni, którzy fundusz pomnożyli. Klasztór nie był przybudowany do kościoła, ale był o 20 sążni ku Nowinom oddalony. Był jak i kościół sosnowy, miał w podłuż korytarz, a po obu stronach po 10 cel. Budynki zaś gospodasrkie były pod Wałem.

Augustyjanie posiadali kościół, klasztór i parafiję w Radomyślu od r. 1625 do r. 1791 przez 166 lat. Piérwszym przeorem był ks. Piotr Ostrowski, św. teol. doktór, a ostatnim był ks. Alojzy Kupiński. Po r. 1772 Radomyśl i Pilzno przeszły pod panowanie Austryi. W tych klasztorach nie było nowicyjatu, tylko przysyłano księży z Krakowa. Ale że późniéj i z Krakowa nie przysyłano, a w Radomyślu i Pilźnie księża wymiérali, przeto Konsystosz chcąc lepiéj Pilzno obsadzić, przeniósł ostatnich dwóch Augustyjanów z Radomyśla do Pilzna. Gubernijum pozwoliło na to w r. 1791, a Konsystosz obsadził plebana świeckiego ks. Bąkowskiego, późniéj ks. Michała Kosowskiego, daléj administratora Alex. Kupiackiego, plebana, ks. Franciszka Radoszyńskiego, a po nim ks. Józefa Burdzińskiego, dzisiejszego plebana.

(Dokończenie nastąpi).

Paweł i Gaweł.

Paweł i Gaweł w jednym stali domu;
Paweł na górze, a Gaweł na dole.
Paweł spokojny, nie wadził nikomu,
Gaweł najdziksze wymyślał swawole.
Ciągle polował po swoim pokoju:
To piec, to zając. — Między stoły, stołki
Gonił, uciekał, wywracał koziołki,
Strzelał i trąbił i krzyczał do znoju.
Znosił to Paweł, nareszcie nie może;
Schodzi do Gawła i prosi w pokorze:
— Zmiłuj się wacpan, poluj ciszéj nieco,
Bo mi na górze szyby z okien lecą.
A na to Gaweł: Wolnoć Tomku
W swoim domku!
Cóż było mówić? Paweł ani pisnął;
Wrócił do siebie i czapkę nacisnął.
Nazajutrz Gaweł jeszcze smaczno chrapie,
A tu z powały coś mu na nos kapie.
Zerwał się z łóżka i pędzi na górę.
Stuk! puk! — zamknięto. Spogląda przez dziurę
I widzi — cóż tam? Cała izba w wodzie,
A Paweł z wędką siedzi na komodzie.
— Co wacpan robisz? — Ryby sobie łowię!
— Ależ, mospanie, mnie kapie po głowie...
A Paweł na to: Wolnoć Tomku
W swoim domku!
Z téj tu powiastki morał w tym sposobie:
Jak ty komu, tak on tobie.

Aleksander Fredro.

Laska zaczarowana.

Grzegórz był bardzo poczciwym i pracowitym gospodarzem. Ze wschodem słońca wychodził piérwszy do pracy i ostatni wracał do domu. Wszyscy mówili o nim, że pracuje jak nieprzymierzając owo bydlę, a jednak gospodarstwo jego coraz bardziéj upada, a on ubożeje i trapi się chudaczysko. Uważając, że się mu już całkiem nie powodzi w gospodarstwie, bo i budynki się walą, koniki chodzić nie chcą, rola coraz mniéj wydaje, a w śpichrzu tego i owego brakuje — idzie on do swojego sąsiada, na którego dla tego, że się mu dobrze powodziło, zawsze patrzył z ukosa, i mówi do niego:

— Powiédzcie mi, mój kochany sąsiedzie, jaka w tém przyczyna, że wy ani o połowę tyle nie pracujecie, ile ja, a wam wiedzie się jak najlepiéj, wszystkiego macie podostatkiem i nic u was nie idzie marnie?... Jeżeli wiécie o jakiéj sztuce, nauczcie mię jéj łaskawie, bo gdy tak daléj pójdzie u mnie gospodarstwo, muszę opuścić miłą mi chatę i pójść we świat, gdzie mię oczy poniosą!...

I otarł łzy rękawem, a Bartłomiéj pokiwał głową, uśmiéchnął się i powiedział do niego:

— Ha! pewnie, że mam dziwny sposób do dobrego prowadzenia mojego gospodarstwa... Oto, jeżeli uwierzycie... mam laskę, którą trzymam w ręku, a ta jest zaczarowaną... Ona to sprawia, że gospodarstwo moje w tak dobrym znajduje się stanie. Jeżeli chcecie, chętnie wam jéj pożyczę, a gdy przytém będziecie robili, co wam powiem, ona was pewnie postawi na nogi...

Zmięszał się Grzegórz. Z pewną bojaźnią wziął laskę do ręki i długo ją oglądał, bo nie mógł pojąć, jakim sposobem prosty, sękaty kij mógłby się przyczynić do podźwignienia jego gospodarstwa?...

Bartłomiéj znowu się uśmiéchnął i powiedział:

— Nie bójcie się téj laski; ona przyniesie wam szczęście i przymnoży dobytku, byleście tylko wypełniali następujące rady:

Najprzód każdego dnia, skoro wstaniecie i zanim weźmiecie tę laskę do ręki, zmówcie klęcząco, pobożnie paciérz. Potém zjédzcie śniadanie i z tą laską w ręku obejdźcie wszystkie zakątki waszego domu. Idźcie z nią do stajni, do obory, w pole, i wszędzie dokąd przyjdziecie, zabawcie chwilkę, zajrzycie wszędzie i nad każdą rzeczą pomyślcie trochę. Kiedy czeladź idzie w pole, i wy idźcie za nią. Tam na kilka godzin odłóżcie laskę i pracujcie z czeladką, lecz zamiast ostatni, piérwszy wracajcie z pola i znowu z laską w ręku, jak z rana, zaglądnijcie do każdego kąta.

Zdziwiony Grzegórz podziękował Bartłomiejowi za te rady, wziął laskę i poszedł do chaty. Nazajutrz zrobił, jak mu sąsiad przykazał. Zanim laskę wziął do ręki, ukląkł piérwéj do paciérza i przypomniał sobie teraz dopiéro, że idąc do pracy, nigdy paciérza klęcząco, pobożnie nie odmówił. Nie chciało się mu wznieść serca do ojca niebieskiego i prosić o błogosławieństwo. Jeżeli mówił paciérz, to stojąc lub chodząc, to téż sam nie wiedział, co mówił. I miałaż taka modlitwa podobać się Bogu? Miałże Bóg błogosławić jego pracy?

Wtedy przypomniał sobie Grzegórz, co mu ksiądz dobrodziéj nieraz mówił:

— Choćbyś człowieku spracował twoje ręce po same łokcie, na nic ci się nie przyda praca bez błogosławieństwa Bożego!

Zmówiwszy paciérz, zjadł śniadanie, wziął laskę i poszedł do stajni. Zagląda do każdego kąta i cóż widzi? Oto koniki stały przy próżnym żłobie, a pod żłobem znalazł w mierzwie ukryty worek z owsem, który był przeznaczony dla koni, a który parobek ukrył, by potém zanieść do karczmy.

— Ha! — pomyślał sobie Grzegórz — pracowałem jak to bydlę w polu, w domu i na każdém miejscu, a tu nic dziwnego, że byłbym wyszedł z torbą, bo nie było dozoru...

I poszedł znowu daléj, a gdzie zaszedł, wszędzie znalazł nieporządek i widoczną szkodę. Odtąd trzymał się rady Bartłomieja, chodził do każdego miejsca, doglądał, wydawał dobre rozkazy i po pewnym czasie przyszedł do lepszego mienia.

Idzie tedy do Grzegorza i mówi do niego:

— A bodajże was gęś kopnęła za wasz dowcip. Wierzę teraz, że wasza laska nie jest zaczarowaną, ale rada wasza skuteczna, by doglądać gospodarstwa. Oddaję wam już laskę, bo ona mię nauczyła, jak mam sobie postępować z gospodarstwem. Wiem już teraz, że sobie trzeba podzielić pracę, zaprowadzić porządek i doglądać robotników, a wtenczas większy pożytek, niż gdyby człowiek sam jak wół pracował...

— A widzicie! — rzekł Bartłomiéj — co was przywiodło do upadku.

Lepsze w pracy doglądanie,
Niżli sił swych marnowanie.

Grzegórz uściskał Barłomieja i od téj chwili był jego najlepszym przyjacielem. Radzili często obaj o gospodarstwie, czytywali pożyteczne książki, to téż anibyś poznał dzisiejsze gospodarstwo Grzegorza.

Szymon z Dołuszyc.



Zamek Melsztyn. *)

*) Opis tego zamku umieściliśmy w Włościaninie z 1870 r. W przyszłym numerze opiszemy zdarzenie, jakie było w tym zamku.

Rozmowa o przemyśle.

— Doprawdy, że ja już sam nie wiem, co ci ludzie teraz wymyślają! — rzekł Sobek do Bartłomieja.

— No i cóż takiego?—zapytał Bartłomiéj.

— Ot n. p. mówią o jakimś przemyśle, co może wypadałoby nazwać wymysłem, bo jużciż i na cóżby się to przydało?

— Bajże, baju, dla zwyczaju! — odparł Bartłomiéj — A toć przecie przemysł to rzecz jedyna na wypędzenie biédy, na pomnożeniu dobytku; bo on uczy jak to trzeba przemyślać, żeby mieć ze wszystkiego dochód, żeby i najniepotrzebniejszą rzecz na pozór zużytkować, wyciągnąć z niéj korzyść dla siebie, albo wyrobić z niéj inną rzecz przydatną. A to przecie sztuka nie lada! Głupi nie przemyśla, to też każdą rzecz zmarnuje.

— A to może przemysł i ze śmieci odnosi korzyść? — zaśmiał się Sobek.

— A ty jak myślisz? — przemówił Bartłomiéj — Nie racyja wymiéść i wyrzucić, ale sztuka i śmiecie spożytkować, a tego właśnie uczy przemysł. Nic nie ma na świecie niepotrzebnego; ludzie myślący wiedząc o tém, zastanawiali się tedy, coby też zrobić z każdą rzeczą niby nieużyteczną, kiedy ona przecie jest potrzebną — i przyszli do tego przez swoje myślenie, pracę i naukę, że się dziwić, ale nie kpić należy. Że mówię prawdę, posłuchaj uważnie, to się przekonasz. Widziałem u was już nieraz i widzę codziennie, że wyrzucacie popiół.

— A bo cóż komu przyjdzie z niego? — przerwał Sobek.

— Widzisz, jaki z ciebie chłopak nierozsądny!— odrzekł Bartłomiéj urażony — Ludzie przemyślni nie wyrzucą popiołu, bo mają z niego korzyść. Popiół z kości jest cennym nawozem pod rośliny zbożowe; popiół drzewny, szczególnie z drzewa dębowego, bukowego i sosnowego odgrywa w handlu ważną rolę. Potrzeba go do wyrobu mydła, przy bieleniu płótna, w farbiarniach, hutach szklannych i wyrobach fajansowych. W gospodarstwie domowém przydatny jest popiół drzewny do prania, wywabiania plam i dodają go często do kąpiel. Piszą, że kąpiele suche, ogrzéwające, służą do przywrócenia życia zmarłym pozornie, a szczegolniéj osobom zatonionym, których ciała nagie okładają się ciepłym popiołem i w nim pozostawiają się aż do ogrzania.

Dobry gospodarz powinien mieć pakę albo skrzynię albo jaki taki schowek i tu starannie gromadzić popiół, a nie niszczyć go wyrzucaniem. Mając w sobie odpowiednie części pożywne dla roślin, stanowi on doskonały nawóz, zwłaszcza, jeżeli się go używa do uprawy roślin pastewnych i różnych gatunków koniczyny. Na takim nawozie pielęgnowane rośliny odznaczają się wzrostem i bujnością. Popiół z drzew liściastych jest lepszy na nawóz niż z drzew szpilkowych; z brzeziny najlepiéj użyźnia ziemię. Nawet i popiół z węgli kamiennych jest dobrym nawozem na łąki.

Sobek patrzył na Bartłomieja jakby w tęczę i słuchał najuważniéj. A Bartłomiéj tak mówił daléj:

— Widzę już z twojéj twarzy, że zaczynasz wierzyć moim słowom. Oj tak, tak, mój kochany, u nas niejedna rzecz marnieje, a dobry gospodarz mógłby sobie z niéj przysporzyć znaczny dochód w gospodarstwie. Ot n. p. wyrzucają u nas także kości jako rzeczy nieprzydatne, a tymczasem jakże niemi wybornie można sobie uprawić ziemię!

Trzeba je więc także troskliwie zbiérać i składać, a w jakim celu, to ci już chyba drugim razem opowiem, bo już dzisiaj nie mam czasu.

I tak opowiem ci o każdéj rzeczy u nas lekceważonéj, ażebyś się przekonał, co z niéj robi przemysł! Tymczasem na tém poprzestaję.

— O dobrze, dobrze, kochany Bartłomieju! powiedział Sobek —ja i drugich przyprowadzę, żeby słuchali waszéj mądréj rady!

I pożegnał się z Bartłomiejem.

Józef z Bochni.

Zatrudnienia dobréj żony.

Żony wyższego urodzenia u nas w Polsce dawniejszemi czasy — jak pisze uczony Maciejowski — patrzały wzorków, żony niższego urodzenia zatrudniały się kądzielą, co znaczy, że gdy stroje i misterne roboty zabawiały panie, praca domowa była udziałem kobiét niezamożnych. Za dobrą gospodynię uważano kobiétę, która o niczém mówić nie lubiła, tylko o mléku i o kądzieli, która rano wstawszy, roznieciła zaraz w kuchni ogień, a potém myślała o dojeniu krów. Kobiéta taka, porobiwszy następnie ochędóstwo domowe, nie siedziała próżno, wzniosł-

szy kolana, nie kwokała jak kokosz, nie orała językiem jak młyńskie koło, lecz albo przędła, albo pracowała około nabiału, z czego zarobione pieniądze stanowiły jéj dochód wyłączny, albo robiła gomółki, tworzyła małdrzyki lub serwatkę odbiérała od mléka, twaróg na sér przysposabiając. Pracując sama, uczyła pracować i córki swoje — piorąc chusty i susząc je pięknie, siejąc w ogrodzie nowinki, jakoto: ogórki, karczochy, zbiérając je i susząc, nakoniec zaopatrując śpiżarnię w zapasy potrzebne. Rządna gospodyni przebiérała pietruszkę i pasternak, przekładała ćwikłę, przesypując ją koprem. Przesuszywszy ćwikłę w piecu, krajała ją w talérzyki, potrząsała chrzanem i koprem włoskim, kropiła octem, posypywała solą, układała koper włoski, każdą jego gałązkę uplotłszy w warkoczyk. Soliła ogórki, przekładając je wiśniowemi albo dębowemi liśćmi. Smażyła róże i inne zioła, przyprawiała wódki, jedne wypalane z różnych pachnących ziół i krzewów, jak: lewandy, róży, cyprysu, izopu; drugie dla napitku, jako to: cynamonowe, anyżowe, tatarskie i z różnych ziół przerabiane. Z wiśni robiła soki, ze śliw powidła, smażyła ziele tatarskie w cukrze, także skórki cytrynowe, pomarańczowe. Wódki służyły za lékarstwa dla miernego ich zażycia rano, czasem na noc. Rożę smażoną zażywano w cukrze. Na ciasto sprawiała mąkę, krupy perłowe przesiéwała na drobne i średnie. Indyki, gęsi, kapłony tuczyła w kojcu. Przechowywała w pudle wysuszoną kaszę, zrobioną z wygotowanych i przez durszlak przecedzonych jabłek, a ten zapas wystarczył jéj na rok cały. Chowała świeże masełko, chléb biały, korzenie, których nakupował jéj mąż do śpiżarki, ilekroć się mu udało dobrze sprzedać zboże w poblizkiém miasteczku. Wyrobione i wybielone w lecie płótno krajała w zimie, a potém różnemi pracami zajmowała się z córkami swojemi, bo w domu zawsze jest coś do zrobienia. Kobiéty więc były czynne i porządne; nie znały one co to jest fukać i pukać na domowników, wyjąwszy, kiedy chléb piekły. Wtenczas każdy, nawet i mąż powinien jéj był ustępować z drogi, jeżeli się nie chciał narazić na przykrość.

Piękny przykład.

O szkole w Woli Justowskiéj pod Krakowem.

Człowiek strzéla, pan Bóg kule nosi — tak mówi jedno przysłowie nasze. To znaczy, że człowiek nieraz co innego zamierzy, a co innego zrobi. I mnie się to wydarzyło we czwartek przed św. Józefem. Szedłem kędyindziéj, tymczasem przybyłem do Justowskiéj Woli, czego całkiem nie żałuję. Patrzę, a tu stoi gromadka ludzi czysto ubranych. Zbliżam się do nich, a jeden mężczyzna tak mówi:

— Szkoła jest, bo jest, ale na co nam téj szkoły?

— Żebyśmy nie byli ciemnymi! — dodał drugi.

— A przecież wszyscy mamy dobre oczy!...

— To, mój bratku, inaczéj się rozumié! Do szkoły po to się chodzi, żeby się oświécić. A nauka jest owém światłem. Kto jéj nie ma, mówimy o nim, że jest ciemny, bo nie umié odróżnić złego od dobrego, chodzi po omacku i nie ma dobréj świadomości o niczém na świecie, chociażby miał nie wiem jaki wzrok dobry. Kto ma naukę, ma duszę rozumną, oświéconą, zna życie i świat ten Boży, dla tego mówimy o nim, że jest oświécony....

Tego wszystkiego słuchałem ciekawie. Wtém wszyscy zgromadzeni spojrzeli w jednę stronę, a jeden rzekł:

— Chodźmy już do szkoły, bo księżna Marcelina już idzie!

I ruszyli z miejsca, a ja sobie myślę:

— Ha! to pewnie będzie popis, trzeba pójść za nimi!

I nie zawiódłem się w moim domyśle. Wszedłem do szkoły i obaczyłem różnych panów i księży. A jak się późniéj dowiedziałem, był między nimi p. Stanisław Olszewski, co to jest radcą szkolnym na cały kraj, pan profesor Skobel, ks. proboszcz Tupy, ks. Wołek, nadzorca szkolny i były prowincyjał OO. Augustyjanów, p. Ignacy Żółtowski, pan bardzo szczodrobliwy; byli także dwaj nauczyciele z okolicy, rodzice dzieci i wielu włościan z Woli, tak, że już i miejsca nie było gdzie stać lub siedzieć.

Nauczyciel tamtejszy p. Lach rozpoczął popis. I jak ci zaczęły dzieci o tém i owém rozpowiadać, jak zaczęły zdawać sprawę z udzielanych im nauk, to aż serce biło z radości. Patrzę wtedy po twarzach stojących włościan, a tu na każdéj malowało się prawdziwe zadowolenie, a w sercach pewnie budziły się przyjemne uczucia, że i w Woli stoi już szkoła, z któréj zaczyna tryskać zbawienna oświata... I gospodarz ów niechętny szkole patrzał wypogodzonemi oczyma na to maleństwo, dla którego błoga nastaje przyszłość...

Kiedy się skończył popis, ks. Tupy podziękował szanownym gościom za ich przybycie, a włościanom tłomaczył, ile to wypłynie dobrego, gdy będą w porządku utrzymywać szkołę. Potém przemówił pan radca Olszewski. Pochwalił pana nauczyciela Lacha za dobre nauczanie dzieci, a włościan zachęcał, by przez wzgląd na siebie i dzieci swoje dbali troskliwie o szkołę, która tak pięknym odznacza się początkiem, a co będzie w mocy rady szkolnéj krajowéj, uczyni dla niéj z wszelką gotowością.

Potém wychodzili goście i włościanie rozczuleni z prawdziwą uciechą, a jeden tak mówił:

— A to pięknie, a to ślicznie, że ten pan nauczyciel tyle zrobił w tak krótkim czasie!...

— A dawno to już macie szkołę? — zapytałem z ciekawością.

— Dopiéro od listopada zeszłego roku — rzekł poważnie gospodarz — a jak widzicie rozwija się najpomyślniéj i każe się nam spodziéwać najpiękniejszych owoców. I nie wątpię, że przy pomocy i uznania godnéj troskliwości książąt Czartoryskich nie doznamy zawodu...

— Jak to książąt Czartoryskich? — zapytałem.

A bo oni są właścicielami naszéj włości — odrzekł gospodarz — oni najwięcéj opiekują się szkołą, a szczególnie księżna Marcelina.

I tu zaczął mi opowiadać ów gospodarz, że niebawem stanie w Woli nowa szkoła, bo księżna Marcelina dała już na cel 1000 złr., a książę Czartoryski ofiarował pod nią mórg pola, kamień na budowę i 25 złr. rocznie na utrzymanie szkoły. Teraz zaś płaci na wikt dla nauczyciela 12 złr. miesięcznie i pewnie będzie płacił dotąd, dopóki szkoła należycie urządzoną nie zostanie.

A księżna Marcelina to już używa rozmaitych sposobów, aby tylko podnieść szkołę; nie szczędzi trudów i zabiegów, byle tylko mogła się przyczynić do jéj dobra. Co miesiąc przychodzi do szkoły, przysłuchuje się nauce, przekonywuje się o postępach dzieci i najpilniejsze obdarza podarkami i nagrodami, chwali i zachęca do pracy i nauki.

I dzieci uczą się z ochotą i postępują coraz bardziéj, bo wiedzą, że szlachetna opiekunka znowu do nich zaglądnie i zażąda od nich dowodów usilności...

— A ile też chodzi dzieci do szkoły? — wtrąciłem.

Na to powié ów gospodarz:

— W wiosce naszéj mamy zaledwie 30 chałup, a dzieci uczęszcza do szkoły prawie 50. Zawsze to na początek dosyć wiele. Wypada mi tu także pochwalić bardzo naszego zacnego wójta, który wielce się przyczynia do tego, iż tyle dzieci chodzi do szkoły. Mało mamy takich wójtów, ktorzyby tak gorliwie popiérali oświatę i rozumieli jéj znaczenie.

— O to nie ma wątpliwości — powiedziałem do gospodarza odchodząc — że przy staraniach takich szlachetnych dziedziców, takiego wójta i nauczyciela szkoła wyda dobrych ludzi, którymi się kraj cieszyć będzie! Daj Boże, żeby w każdéj wiosce były takie zacne osoby, któreby tak szczérze pracowały dla oświaty, a kraj uczci je z pewnością, nie minie ich nagroda na ziemi i w niebie!

Józef z Bochni.

O płodozmianie.

Płodozmianem zowie się zmiana płodów roślinnych, sianych lub sadzonych kolejno na téjże samej roli.

Najzwyczajniejszy płodozmian u nas jest trzyletni czyli gospodarstwo trzypolowe. W roku piérwszym, czyli w piérwszém polu ozimina, w drugiém jarka, a w trzeciém ugór. Ale w innych krajach, a w części i u nas, gdzie gospodarstwo udoskonalone, ugoru wcale niéma; bo ziemia nie męczy się jak człowiek i wypoczynku nie potrzebuje, tylko trzeba ją zasilać gnojem i nawozami. Ziemia przytém przez zmianę roślin zasila się jakby była gnojoną lub ugorem leżała. Nigdy więc nie siać dwa razy jedno ziarno z rzędu. Najlepszy płodozmian u nas jest taki na początek.

Podzielić grunt na cztéry części czyli pola.

Piérwsze pole dobrze zorane, skopane i ugnojone przeznaczyć, stósownie do potrzeby, na buraki, marchew, rzepę, brukiew, ziemniaki, czyli rośliny korzeniowe.

Drugie pole na jarkę, czyli na owies, jęczmień, żyto i inne zboża jare.

Trzecie pole na koniczynę, groch, wykę, tatarkę.

Czwarte pole na zboża ozime, czyli na oziminy.

I tak rok za rokiem płody te zmieniać.

Kto ma gnoju dostatek, ten może jak w ogrodzie warzywnym, siać co rok na téj saméj roli, co mu się żywnie podoba, lecz sposobność po temu rzadko się wydarza, chyba tylko w sąsiedztwie miast wielkich, albo kwaterunków wojska konnego.

Za ogólną zasadę przyjąć należy: siać i sadzić to, do czego rola najwłaściwsza, i co największy i najłatwiejszy ma odbyt czyli pokup.

W krajach, gdzie ziemi mało a ludności i pieniędzy wiele, nikt nie pyta: — czy to jest ziemia ogrodowa pszenna, żytnia albo owsiana? — bo każdy tak ją sobie przerobi i doprawi, jak mu potrzeba. U nas to być jeszcze nie może, więc płodozmian ziemię zasilający, tém jest konieczniejszy.

Lach z Lachów.

Co słychać w świecie?

Francyja pomimo wojny z Prusami, zrozumiała swoje położenie i pomyślała o podniesieniu zaniedbanego oświécenia ludu. Gambeta, chociaż zajęty tyloma i tak naglącemi potrzebami obrony najechanego kraju, nadaje znakomitym ludziom posady nauczycielskie. Dla czego? Bo nieszczęścia bywają często najlepszą szkołą, nie tylko dla pojedynczych ludzi, lecz i dla całych narodów. Naród bez oświaty, przy najlepszych i najłagodniejszych prawach, szczęśliwym być nie może, gdyż tych praw użyć na swoje dobro nie potrafi. Dobrze mówi przysłowie polskie: Nie daj miecza szalonemu — bo zamiast go użyć ku swéj obronie, to się nim sam jeszcze pokaléczy. To samo ma się rozumieć i o prawach u narodów nieoświéconych, nie pojmujących, iż prawa są zabezpieczeniem spokoju i dobrego bytu społeczeństwa. Wolność, jaką nadają łagodne prawa, u nieoświéconych bywa najfałszywiéj pojętą, gdyż im się zdaje, iż wolność na tém zależy, że można wszystko czynić, co się tylko komu podoba, nawet ze szkodą bliźniego. Taka wolność nie jest wolnością, jest fałszywém pojęciem wolności, jest występkiem.

D. 18 marca powstańcy francuzcy rozstrzélali po wyroku czterech jenerałów. Z dwoma postąpiono podług praw wojennych, nie znoszących ani mordowania kobiét ani szpiegostwa, czém się właśnie odznaczyli.

D. 23 marca było ciągle wzburzenie w Paryżu. Na ulicach bili się powstańcy z gwardyją narodową. Druty telegraficzne zerwano. Mówiono, że jeżeli do niedzieli porządek nie będzie przywrócony, Prusacy będą bombardowali i obsadzą Paryż. Thiers, głowa teraźniejszego rządu we Francyi, powiedział, iż rząd nie wyszle wojska przeciw Paryżowi, lecz spodziéwa się że Paryż zachowa się roztropnie.

Tego dnia przyszło w Paryżu do krwawego starcia. Zamordowano jednego jenerała na ulicy; drugiego powstańcy rozstrzélali. Pięciu gazeciarzów skazano na śmierć, lecz uciekli z życiem. Rząd Thiersa zapewnie upadnie. Gromadzą wojska przeciw Paryżowi. Przewidują niektórzy, że Prusacy rozpoczną wojnę na nowo, mając we Francyi 600000 wojska pod ręką. Królewicz ma objąć naczelne dowództwo.

Powstanie w Paryżu i innych miastach francuzkich jest smutnym wypadkiem i może wielkie sprowadzić nieszczęścia na Francyję. Wojna domowa jest największą klęską, a tu chodzi jeszcze o zewnętrznego nieprzyjaciela.

Prusacy stoją o 2 lub 3 mile od Paryża. Nie rychło odejdą, widząc pokój zagrożony. Im chodzi o 5 milijardów. Zajmą prawdopodobnie Paryż, aby zabezpieczyć wykonanie tego pokoju.

Napoleon opuścił Wilhelmshöhe d. 18 marca i udał się do Anglii. Podczas swego panowania zebrał sobie ogromne sumy. W samych Włoszech ma ziemi za 100 milijonów. Césarzowa ma w Hiszpanii całe powiaty.

Prócz tego umieścił Napoleon kapitały w Ameryce, Anglii, a nawet i w Moskwie. Cała fortuna césarza wynosi 800 milijonów franków. Dodajmy do tego majątek własny Napoleona, to otrzymamy sumę 1200 milijonów straconych na wieki dla Francyi.

Gwardyja narodowa trzyma z powstańcami. Jen. Vinoy cofnął się z 40000 wojska do Wersalu, bojąc się, że gwardyja narodowa paryzka pomaszeruje na Wersal, aby rozpędzić rząd i zgromadzenie narodowe.

Jedyne miasto obronne, które nie kapitulowało, jest Bitch i dopiéro na rozkaz rządu francuzkiego roztworzyło bramy miasta wojskom niemieckim. Załoga francuzka odeszła z bronią i bagażami. Oblężenie trwało 7 miesięcy.

Coraz żywiéj się okazuje, że Francyja za zbyt pospiesznie zawarła pokój i zaufała uczciwości niemieckiéj zdając się na łaskę i niełaskę nieprzyjaciela.

Ważném jest także, iż komitet powstańców uznał traktat pokojowy z Prusami. Tym sposobem odjęto Prusakom wszelki pozór prawny do wmięszania się w tę rzecz.

Prusacy najechawszy Francyję, zostawili po sobie niezatarte ślady barbarzyństwa. Huny, Tatarzy nie byli tak srogimi i nie wylali tyle krwi niewinnéj, jak dzisiejsi cywilizatorowie. Podam wam opis egzekucyi przeprowadzonéj przez Prusaków pod miastem Nancy, a to wskutek zabicia jednego żołnierza niemieckiego. Najpiérw musieli ci nieszczęśliwi wykopać dół wielki, nad brzegiem którego ustawiono 200 Francuzów szeregiem, i rozstrzeliwali jednego po drugim porządkiem tak, iż ani jeden nie uszedł okrutnéj śmierci.

Nic rzewniejszego nie było, jak gdy d. 19 lutego po bitwie pod Paryżem, niezliczona ludność przybyła na plac boju. A po co? Oto matki, żony, siostry i kochanki przyszły poszukiwać swoich, a były i dzieci szukające swych Ojców. O ten płacz nie jest do opisania! Niewiasty francuzkie znalazłszy swoich, z płaczem obmywały ich krew, pokrzepiały rannych, i po kilka razy dopomagając sobie odnosiły ich do omnibusów.

ROZMAITOŚCI.

D. 2 marca otrzymaliśmy z okolicy Żabna od Tomasza Wilka następujące pisanie: Pochodząc z gminu i żyjąc między ludem, cieszę się bardzo, że mogę odczytywać w każdą niedzielę po nieszporach zgromadzonym z całéj wioski u wójta sąsiadom z waszego Włościanina i Zagrody pouczające rady i przestrogi, i doświadczyłem, że współbracia radzi opróżniają karczmę, a zdrowe uwagę wpływają na umysł nawet nałogowych występników, o których poprawie przedtém zwątpiono.

Nie zaprzeczą mi uczeni, że religija prowadzi lud do cnoty, a odwodzi od złego. Życzyłbym sobie ze serca, byśmy wszyscy razem przejęli się myślą do zbawienia i dobra społeczeństwa wiodącą. Po tych słowach umieścił Tomasz swego układu pieśń o ukrzyżowanym panu Jezusie, ale jéj drukować nie możemy, bo trochę za długa.

Przepraszając za to postąpienie, dziękujemy mu pięknie za pamięć i prosimy, by o nas nie zapominał.

Wielką mamy radość, że pisma nasze sprawiają dobry skutek, oby tylko Bóg pozwolił, byśmy jeszcze goręcéj pracować mogli dla dobra bliźnich swoich!

Pisarz Włościanina.

Redaktor odpowiedzialny: *Józef Chmielewski.*

Wydawca S. Jordan. W drukarni W. Jaworskiego w Krakowie.